

Prawda o Abisynji

Okrutne zwyczaje wojowników w kraju zatrutych źródeł

Francuski reportaż o Abisynji, napisany przez Montfreida, zaczął czytać wieczorem. Rozciąłem kartki, obejrzałem fotografie, a potem tak odniechcenia, dla próby, niejako dla zbadania smaku książki, odwróciłem kartę tytułową „Etjopskiego dramatu” („Le drame éthiopien”). I od pierwszej strony był to obraz tak nowy, tak różny od wszystkiego, co mamy w setkach, a może już i tysiącach artykułów i opowiadań, wywołanych modą abisyńską, że wprost nie mogłem oderwać się od owej wizji skalnych pustyń, od raportu z pogranicznych walk, od ujęcia rzeczy, blijszego do sedna, pokazującego nam Abisynję nie ze strony dyplomatycznych przedstawicielstw w Europie i fantastycznie-bajecznych osoblwości pałacu Negusa, ale w wyrazistej rzeczywistości.

ABISYŃSKA FIKCJA.

To, co w tej chwili jest monetą obiegową naszych pojęć o Abisynji, dotyczy po pierwsze samych Abisyńczyków, w ścisłym znaczeniu tego słowa, a więc plemienia zdobywców, panujących nad rozległym obszarem Etiopii, po drugie — pewnej fikcji geograficznej. Wydaje się nam, że określona konturem granic abisyńska plama na mapie Afryki odpowiada czemuś, co realnie istnieje, tak, jak nazwa przedmiotu odpowiada konkretnemu przedmiotowi. Jakże różna, zupełnie różna jest rzeczywistość!

Gdy pierwsze rozdziały książki Montfreida choć trochę zbliżyły nas do prawdy, incydent w Ual-Ual, bezpośredni powód wojny, stał się historią groteskową. Awantura na pograniczu, gdzie dobre kilkadziesiąt kilometrów z jednej i z drugiej strony nie należy właściwie ani do Abisynji, ani do Włoch, a tylko do dzikiej przyrody i dzikich plemion, miała stać się przedmiotem obrad haskiego trybunału, a i tak już była rozpatrywana przez przeróżne komisje. Kiedy czyta się „Le drame éthiopien”, bierze śmiech na wspomnienie tych dyplomatycznych konfereńsów.

W ciągu nocy przeczytałem trzecią część książki i rano odrzuć pisać artykuł. Czy wolno pisać recenzję, znając zaledwie 100 stron? To nie jest recenzja — a dwa rozdziały starczą, aż nadto, żeby mieć nawet rzeczy zupełnie nowych, których nie można trzymać pod korcem. W tych stu stronach mieszczą się najniezbędniejsze pierwiastki: charakterystyczne rysy sytuacji politycznej, obraz niezwykłej przyrody, z pasją namalowany portret abisyńskiego wojownika i dramat białego człowieka — Francuza, zamordowanego przez czarnych.

KOMEDJA GRANICY.

Zacznijmy od świętego, typowego przykładu konfliktu, który tylko dlatego nie doprowadził do wojny, że Francja nie chciała w swej Somali organizować ekspedycji wojennej.

W r. 1892 szczep Issasów oddaje się pod opiekę Francji — nie śni się jeszcze wtedy nikomu o jakichś granicach, traktatach i t. p. W r. 1917 Issasi poddają Francji całe swoje terytoria. Więć nowy protektorat? Nie, bo ziemie szczepu Issasów leżą w „granicach” Abisynji.

Jakże więc naczelniczy szczepu mogli ją ofiarować Francji? Nie podobala im się opieka sultana z Aussy i pomocy przeciw napadom wrogiego szczepu Danakilskiego woleli szukać u francuskiego gubernatora Somali, niż u sultana. Doraźne wyjście znalezione takie, że szczep Issasów był oddat uważany przez konsula Francji w Dire - Dawa za poddanych francuskich.

Część jednak terytorium staje się francuska, przy użyciu typowej kolonialnej metody. W roku 1898 gubernator Somali francuskiej mianował sultanem Gobadu człowieka dogodnego dla Francji, który za zaszczyt stanął się sultanem zawartą z Francją traktat odstępujący jej pas ziem pogranicznych.

Okręg Gobadu należał do sultana Aussa, Mohammeda Yayo, sultanat zaś Aussy nigdy nie był podbity przez Abisynję. Został jedynie zrobiony ustny układ między Menelikiem II, a sultanem Aussy. Sultán zobowiązał się odnawiać drogi karawan, za co Menelik mianował go Dedzaaz Maczem, tj. kimś w rodzaju generała. W ten sposób Abisynja „włączyła” do swych posiadłości sultanat Aussy w momencie, gdy wyciągała się już po niego ręka i francuska i włoska.

POCZĄTEK DRAMATU.

Ale Francja niedaje za wygraną. Buduje strażnicę pograniczną, fort afrykański bliźniaczo podobny do tych, jakie strzegą Marokka. Na mapie przeprowadza się olówkiem granice i pokrywa nowy pasek barwą kolonii francuskich. Granice, nakreślone w gabinecie gubernatora, przechodzą przez środek pastwisk szczepu Danakil, które w pewnym okresie, jako jedyny płat ziemi, pod kryty roślinnością, stają się bardzo cenne, konieczne, nieodzowne.

Interwencje dyplomatyczne. Pośel francuski tłumaczy w Addis Abebie, że ziemia należy do Francji, a cesarz utrzymuje, że do Abisynji. Naprawdę zaś żyją tam szcypy Issasów, chroniących się pod doraźną opieką francuskich karabinów maszynowych i szcypy Danakilów, którzy nic o tem nie wiedząc stali się nagłe Abisyńczykami.

Ta sytuacja odnosi się do całego prawie pogranicza Abisynji takiej, jaką wyimaginowano sobie na mapach. Abisynja istotna — to tylko centrum państwa, reszta zaś tworzy kolonie, terytoria „protektoratów” — jak powiedzie libyjski językiem europejskich pojęć prawnych, — na których nie-

da, szkal i sep mają prawdziwą władzę.

W KSIĘŻYCOWEJ PUSTYNI.

Tam rozgrywa się krwawe tragedie, które mogą się nazywać „incydentem pod jeziorem Assal”, czy „incydentem pod Ual - Ual”. Nazwa nie gra roli, rdzeń rzeczy jest ten sam.

Szczyt Issas ucieka przed szcypem Danakil. Issasi pragną zająć nowe siedziby pod granicą francuską, niedaleko zbrojnego „postu” francuskiego. Wojownicy Danakil ścigają Issasów. Zaczyna się akcja dramatu. Scena — górzysta kamienna pustynia, wulkaniczne złoże, wygasłe krater i jezioro śmierci, słone jezioro Assal.

Na ten typowy krajobraz ziem, zdobywanych dziś przez Włochów spojrzymy oczyma Montfreida.

„Płynna część jeziora ma kolor głębokiego błękitu, świetlistego błękitu klejnotów. Reszta przedstawia jedno wielkie, rozległe pole soli, zdumiewające swą białością wśród tych popiołów, usypisk żużli i oceanu lawy i bazaltu. Widać jest tak niezwykle, tak niezręczysty, że za każdym razem, kiedy na niego patrzę, chwytam mnie dziwne uczucie smutku, jak gdybym znalazł się nagle w dniach stworzenia świata, w którym nie zostało jeszcze stworzone życie. Człowiek czuje się tu obcym, zgubionym wygnanelem, zupełnie jakby nie był już więcej związany ze swą planetą, ziemną żywicielką.

Jezioro zdaje się leżeć bardzo blisko, ale wszystko zniknie z horyzontu i na niebie będą się rysować tylko niesamowite sylwetki skał.

Ścieżki, wyznaczone w ciągu tysięcy lat przez przechodzące tędy trzody, są nam jedynym przewodnikiem, a w miarę, jak schodzimy coraz niżej i niżej upał rośnie coraz bardziej. Jakbyśmy szli ku tajemniczemu ognisku, gdzie wypalano te skały...

Godziny mijają; błękitna tafla jeziora Assal kilkakrotnie zjawia się między szczytami wulkanów, ale zawsze jest równie daleka i zdaje się uciekać przed nami jak uluda pustynnego mirażu.

Suchy upał tak nas dręczył, że wypiliśmy po garncu wody. Trzeba walczyć z pragnieniem, ażeby oszczędzać zapasy.

Nakoniec po trzech godzinach uciążliwego marszu, wyszliśmy na białą plażę, rozciągającą się półksiężycem „na krawędzi” pola żużlowego, czarnego, jak koks.

Cudownie czysta woda spływa w małych kaskadach na ten biały piasek, przy którym nawet piana wydaje się różowa. Ten ruch w o-wym martwym świecie, gdzie wszystko jest nieruchome, ten szmer fali, tak regularny, jakby był jej oddechem, jest dla nas wesoły, jak znak życia.

Jezero Assas ma około 12 km. średnicy. Wznoszą się nad nim skały, wysokie na 150 metrów, na których biała smuga solna znaczy dokąd dawniej sięgało morze. Skorupa skryształizowanej soli pokrywa dwie trzecie jeziora i błyszczy w słońcu jak śnieg. Nie można długo na nią pa-trzeć. Zwierzęta, które w czasie straszliwych upałów napiją się stąd wody, czeka śmierć. Ptaki, gdy siadają na jeziorze, już nie odlatują. Na płycie solnej widać szkielety zwierząt.

ZATRUTE ŹRÓDŁO

Można sobie wyobrazić, co czeka w tej pustyni człowieka bez wody. Niewiele jest źródeł, a wśród nich jeszcze mniej źródeł nie zatrutych. Nie są to właściwie źródła, ale wypływy podziemnej rzeki, zjawisko częste w afrykańskich pustyniach. Issasi uciekając przed szcypem Danakilów walczyli wszystkimi środkami. W jednej z jaskiń, im tylko wiadomych płynnie podziemny nurt, który daleki, wytryskając ze skały utworzył pozorne źródło.

Trzech spośród uciekającego plemienia zostało na miejscu z dwunastoma worami soli. Zakopali je w jaskini na dnie rzeki, sami zaś ukryli się w górach, czekając, aż miną ich denakilskie oddziały.

Gdy przybyła wyprawa Danakilów wojownicy rzucili się na ziemię, łapczywie pijąc wodę. Dowodcy napróżno starali się ich odciągnąć, napróżno stawiali warły, grozili śmiercią... Kiedy minął pierwszy szal, zrozumieli wszyscy, iż śmierci spojrzeli już w oczy. Po wyczerpującej drodze, ostatkiem sił doszli do wody, poprzedni punkt z wodą znajdował się w odległości 40 km. Dla człowieka w tropikalnym klimacie po całym dniu pragnienia napić się wody słonej znaczy to samo, co popełnić samobójstwo. Część Danakilów zawróciła do punktu wyjścia, inni, czując, że nie dojdą, poszli szukać bliższego źródła. Nikt z nich nie wrócił... Wieczorem przylączyli się już do nich hieny. Skoro padną bez sił, zostaną żywcem pożarci. Mocnym zębom hien nie oprą się nawet kości czaszki.

SERCE POKONANEGO

Walka jest okrutna. Śmiercią płaci się za śmierć. Okrucieństwo okrucieństwo. Montfreid

W cierpieniach

reumatycznych, artretycznych, bólach nerwowych i głowy

STOSUJE SIĘ TABLETKI

Togal

TOGAL USMIERZA BÓLE I PRZYNOSI ULGĘ

Obecnie zniżona cena Zł. 1.50 za rurkę

opisuje straszliwe stosunkowo niedawne zdarzenie, które wywołało poruszenie w całej Francji. Tragiczna śmierć francuskiego administratora Bernard. Lektura dla każdego Europejczyka...

Na pastwiska, które jak wspominałem wyżej kością niezgody były między Danakilami a Issasami i między francuską Somalją a Abisynją, napadli Danakile. „Ci zadziwiający żołnierze — pisze Montfreid — wędrują boso, z garstką ziarna zawiązanego w swych „szamma”, śpią na gołej ziemi z głową na kiemieniu, a w ciągu dnia przebywają, jakby nigdy nie, ponad 80 kilometrów. Gdy napotykają stada, zjadają surowe mięso. Raz rzuconych w bitwę, porwanych opentaczem szale, nie zatrzyma, ponieważ nie znają niebezpieczeństwa. Dla zwyciężonego — są beznadziejnie okrutni”.

„Gdyby tych wojowników właściwie poprowadzić, utworzyłby najbardziej godną uwagi armię na świecie”.

Na pastwisku Issasów Danakile nie spotkali oporu. Do obozu strażników trzody wpadli niespodziewaną szarżą, a trzeba wiedzieć, czym są konie dzikich wojowników południowej Abisynji. Montfreid opowiada rzeczy, czyniąc z danakilskich koni bestje piekielne.

Szczyple, o sierści szaro - popielatej, albo jasno - brązowej, mają wytrzymałość nie do wiary. Gdy wojownik wyruszy na wojnę żywi już swego konia wyłącznie mięsem. Przyzywczajono je jeść mięso prawie żywem wyszarpane z barana, jeszcze ciepłe i ociekające krwią. W bitwie konie, pijane krwią, rzucają się na przeciwnika, gryzą i walczą kopytami. Po bitwie zaś zwycięzcy objeżdżają pobojowisko i zwycięzcy omiatają pierśi jednym uderzeniem ostrego krisu „dżembia”, wyrzucają bijące serca i wątroby i rzucają koniowi.

Rzeź Issasów, dokonana przez szczep Dankali była potworna. Zmasakrowano mężczyzn i kobiety, dzieciom wydzielano serce dla koni, rzucono małego dziecięcego trupka w objęcia konającej matki, wolać:

— Aoka hano heie! (Daj mi mleko!). Bitwie towarzyszyły dźwięki abisyńskich orkiestr wojennej, długich trąb o trzech otworach niosących dźwięk na znaczne odległości.

FATUM NOWOCZESNEJ BRONI

Niedobitki kłeski (było ich za ledwie trzech) uciekli do francuskiej strażnicy. Komendant Bernard ruszył w pościg za łupieżcami. Ufał w przewagę swego kulomiotu nad liczbą wojowników abisyńskich. W decydującej chwili kulomiot zaciął się po trzech strzałach... Bernardowi dżembia otworła pierś, wyrwała serce. Pośel francuski złożył w Addis Abeba uroczysty protest i zażądał wysokiego odszkodowania... Włos po zającu pod Ual - Ual woleli pomstę orężną...

Zdziśt. Broncel.

*) Henry de Montfreid: „Le drame éthiopien”. Paris. Ed. Grasset.

JEŚLI CIASTKA-TO Z ZIEMIANSKIEJ

Ruchoma wieża Babel

Z wycieczki dziennikarskiej do Jugosławji

I w dzisiejszych przyziemnych czasach można również przeżyć bajkę, gdy się na nią złoży kilka zasadniczych elementów, a mianowicie: nieznaną kraj, malownicze widoki zmieniające swój charakter jak w kalejdoskopie, potop promieni słonecznych, smaczne wino barwiące świat na różowo i mili ludzie.

Taką 25 dniową bajką była mi wycieczka dziennikarska po całej Jugosławji wozorowo zorganizowana przez tamtejsze Tow. Turystyczne „Putnik”. 5.600 klm. koleją, autobusem i statkiem, z czego przeszło 3.000 przypadło na drogi bite. Spotkała tam nas wszystkich, przedstawicieli prasy 7 państw, przemita niespodzianka. Po pierwsze zaczęliśmy wycieczkę nie od utartych Dalmatyńskich szlaków turystycznych, lecz po dojechaniu koleją do miasta Skoplje, na południowym wschodzie Jugosławji, mijaliśmy autokarem cudne w swej dzikości, rzeźbione w skałach wąwozy Macedonii, leśniste brzegi rzeki Czarny Drim. Skopska Czarna góra, czelozelowa w popielato-różowym karście, aż po zatokę Kotorską, gdzie ze szczytu Lowczyń 25 serpentynami opuszciliśmy się na brzeg lazurowego Adriatyku. Drugą niezwykle cenną niespodzianką były doskonałe szosy nawet w najdzikszych i najbardziej skalistych polaciach kraju.

Jeżeli ta część kraju nie posiada dotychczas wszelkich urządzeń niezbędnych dla regularnej turystyki, to szosy są tym pierwszym i decydującym fundamentem, zapewniającym turystom bogatą przyszłość. Jedyny zarzut jaki możnaby zrobić, to to, że drogi są wąskie, w wielu miejscach nie może być mowy o swobodnym wyminięciu się dwóch wozów. Ma to swój czar ryzyka i niebezpieczeństwa, gdy się zważy, że drogi te wiodą nieraz ponad 1000-metr. przepaściami i skła-

dają się niemal wyłącznie z serpentyn, to prących się ostro w górę, to znów opadających do doliny, tak że niemal stale widzi się niby gigantyczne stopnie odcińki drogi, którą się bądź przebywa, bądź też będzie mijano za chwilę.

MAŁA LIGA NARODÓW

W naszym autokarze mała Liga Narodów bez problemów i antagonizmów narodowościowych. Słowak - separatysta gawędzi przyjaźnie z młodzieńką, świeżo zaślubioną parką Czechów, odbywającą tą forsowną wycieczkę swą podróżą posłanną. Drobną i wątłą Amerykanką, bezradną w prymitywnych warunkach bytowania tej słowiańskiej prowincji o silnym napięciu wschodu, gdzie komfort współczesny jest jeszcze niemal nieznaną, a warunki klimatyczne pozwalają się bez niego obejść, garnie się do liczących, aż nazbyt pełnych teźżyny i tupetu przedstawicieli prasy i sztuki fotograficznej hitlerowskich Niemiec. Coprawda władza jednym tylko językiem cudzoziemskim, a właściwie mówi trochę po niemiecku, bo gdy słucha, ma się wrażenie, że uprzejmym usmiechem pokrywa zupełny brak zrozumienia. Nas, t. j. obie Polki, koleżankę p. J. Gutkowską i mnie, punktu wziął pod swe skrzydła opiekuńcze pełen dowcipu i humoru stary dziennikarz rumuński p. Dima. Władza biegle francuskim i znakomicie zna dzieje sztuki bizantyjskiej królującej tu niepodzielnie, to też okazuje się bezcennym towarzyszem podróży. Holender odnalazł bratnią duszę w Austriaku, żyd z Pragi Czeskiej bynajmniej nie jest bójkotowany przez przedstawicieli prasy Nadrenji. Wszystkimi przewodzą z dyktatorską swadą kierownik wycieczki dr. Barkus, opiekując się nami z wzruszającą troskliwością niańki i gościnnością która u Jugosławian stanowi

przysłowiową cnotę. Po paru dniach podróży niema już poszczególnych języków, wszyscy rozmawiają jakąś międzynarodową gwara, w której każde zdanie składa się z wyrazów conajmniej w trzech językach. Współczesna wieża Babel, ruchoma, pełna entuzjazmu i bez troski.

NA SZLAKU KULOMIOTU

Tę beztroską zawdzięcza w dużej mierze nieuświadomieniu, gdyż dopiero przy końcu podróży dowiadujemy się z gazet, iż w czasie naszego postoju w Peczu, w najbliższym sąsiedztwie miasta, miejscowi Albańczycy załatwili swe porachunki ze znienawidzonym burmistrzem w dość bezceremonialny sposób. Ustawili na szosie kulomiot i równiutko, symetrycznie przestrzelili go na pół. Nie wiedzieliśmy również iż dalszą drogę do pięknego starego monasteru Patryjarchatu, pod wezwaniem św. Danily z cerkwią datującą z 1325 r. odbyliśmy pod niewidzialną, lecz niemiernie silną eskortą policji.

Jeśli do elementów bajki włączyłam wino, to nie z wrodzonego pociągu do alkoholów. Bez niego żadne znas nie wytrzymałoby piekielnego tempa wycieczki. Od godz. 6-jej zrana w autokarze, spędzaliśmy w nim po 10 do 12 godzin, zatrzymując się wyłącznie na posiłki, bądź w miastach, bądź w uroczyskach oberżach górskich, gdzie pstrągi i młode różowe wino zakrapiane „rakiją” (mocną śliwówką krajową, pachnącą świeżym owocem), oraz „kebakaczycze” (na poczekaniu fa brykowane baranie kielbaski smażone na ruszycie) i wielkimi papryka (moja zmora), stanowiły lukullusowe uczy. Jakże po takim śniadanku wzrastała jeszcze temperatura entuzjazmu. Wszystkie „beautyfull”, „pracht-

voll”, „splendide”, „cudowne”, „vrlo lepo”, „izumitielno” brzmiły jeszcze szczyrzej.

W Bocca di Cattaro z rozkoszą powróciliśmy do pełni kulturalnych urządzeń, do łazienek, kanalizacji, srebrnych zastaw stołowych, wypielegnowanych palm i kwiatników. wówczas kraj ten o cudownych krajozrazach morskich, stał się nam rajem na ziemi. Tembardziej, że w miarę posuwania się na północ skala komfortu wzrastała stale, poprzez Dalmację, Słowenię aż po wytwórnię Bled w Alpach Julijskich nad cudnym jeziorem teje nazwy, letniej rezydencji królewskiej.

KRAJ CZARCZAFÓW

Cud jezior i wodospadów Plitwickich wyrzył się niezapomnianym obrazem w pamięci naszej, a potem znów gwałtowny skok ku południowi, w pełny wschód Sarajewa, gdzie 70 procent mężczyzn chodzi jeszcze w fezach, a w tureckiej dzielnicy niespotykają się kobiety bez czarczafów. Gdzie istnieją autentyczne haremy i czynna jest po dziś dzień sekta „Tańczących derwiszów” kaleczących się w momentach ekstazy religijnej bez widocznych śladów ran. 90 minaretów i 50 cmentarzy muzeumskich rozsiadanych jak skwery po całym mieście. Barwna „Czarczaja” (wschodnie targowisko) źródło nieustannych, groźnych dla kieszeni dziennikarza pokus i wreszcie powrót do kraju polskim wagonem, cieszącym się zagranicą w pełni zasłużonym uznaniem i co ważniejsza, obfitszą frekwencją. Oto koniec mej bajki, naszkicowanej pobieżnie, bo nawet nie zdążyłam zaznaczyć, iż przed tygodniem pisałam się w falach Adriatyku przy 45 stopniowym upale. Czyż uwzględniając nawet naszą pogodną jesień nie zakrawa to nie bajkę?

Marja Zawadzka

Podróżuj samolotem